

## **Przemysław Piętaś: Nasz europejski wróg**

Putin jest wrogiem, bo wywołał – lub realnie może wywołać – wojnę, a zestrzelenie samolotu spowodowało, że poczuliśmy – my, Europejczycy – że ta wojna jest (lub może być) wymierzona w nas



**Putin jest wrogiem, bo wywołał – lub realnie może wywołać – wojnę, a zestrzelenie samolotu spowodowało, że poczuliśmy – my, Europejczycy – że ta wojna jest (lub może być) wymierzona w nas. Zamordowanie niewinnych osób, całych rodzin, mężczyzn, kobiet i dzieci, lecących z jednej z wielkich europejskich stolic na słoneczne wakacje sprawiło, że wspólnota europejska – powtórzmy, po raz pierwszy od jej niedawnego zjednoczenia – stała się wspólnotą krwi.**

Władimirowi Putinowi należy się tytuł „Europejczyka Roku”. Nikt do tej pory nie potrafił tak dalece zjednoczyć naszego kontynentu – pierwszy raz od przełomu 1989 roku i następującego po nim procesie przyjmowania do Unii Europejskiej nowych krajów – w powszechnej świadomości istnienia wspólnego wroga. Oczywiście, że natężenie tej świadomości ma różną intensywność w zależności od kraju, jaki zamieszkujemy, a także od preferowanej przez nas opcji politycznej. Ale pomimo tych różnic, poprzedni rok spowodował w europejskim myśleniu niezwykle istotną, jakościową zmianę. Po aneksji Krymu i wywołaniu wojny domowej w Donbasie nikt przy zdrowych zmysłach nie odważy się już publicznie głosić tak popularnej do niedawna tezy, że Rosja jest częścią Europy. Nie jest. Rok 2014 pokazał dobitnie, że Rosja jest tworem całkowicie odmiennym. Odmiennym od części świata zamieszkanego przez nas. Od nas, czyli Europejczyków.

W tym sensie, niezwykle nasilona w ostatnich miesiącach, antyeuropejska propaganda Kremla jest czymś, co paradoksalnie, zamiast wzbudzać w nas poczucie zagrożenia (tak nieobce nam przecież w pierwszej połowie 2014), stało się elementem konsolidującym i wzmacniającym europejską tożsamość (i piszę to mając w pełni świadomość, że dla znacznej części osób o poglądach prawicowych i konserwatywnych określenie „europejska tożsamość” ma wciąż silnie pejoratywny wydźwięk). Punktem zwrotnym w naszym myśleniu o współczesnej Rosji było, jak sądzę, zestrzelenie na wschodzie Ukrainy cywilnego samolotu i tragiczna śmierć wszystkich jego pasażerów. Chociaż ofiarami tego ataku byli głównie Holendrzy, jestem przekonany, że również wielu Polaków, Czechów, Niemców, Włochów, Francuzów czy Anglików, oglądając tamte obrazy miało poczucie, że to oni – barbarzyńcy zaatakowali nas – Europejczyków. I zauważmy, że dokładnie od tego momentu Putin zaczął przegrywać tę

wojnę. Pękła psychologiczna bariera, przed którą mieszkańcy Amsterdamu, Berlina czy Londynu mogli uważać wojnę w Donbasie wyłącznie za lokalny, nieistotny w europejskiej perspektywie konflikt. Od tamtych lipcowych dni to jest już nasza wojna, wojna z Rosji z Europą, czy może szerzej – Rosji z Zachodem. Niedawna izolacja prezydenta Rosji na szczycie G20 w Australii była już tylko praktycznym następstwem pogłębiającej się przepaści pomiędzy coraz bardziej oddalającymi się od siebie dwiema cywilizacjami, skutkiem, a nie przyczyną. Putin musi przegrać (i przegrywa), bo przeciwko sobie zobaczył zjednoczony Zachód, nawet jeśli dla niektórych komentatorów, również w Polsce, skala tego zjednoczenia jest wciąż niezadowalająca.

W opublikowanym w listopadzie ubiegłego roku w „Guardianie” (i przedrukowanym następnie w polskim przekładzie w „Przeglądzie Politycznym”) eseju „Prawda o złu, które nigdy nie przemija”, John Gray zwraca uwagę na interesujący paradoks – chociaż we współczesnym świecie pojęcia dobra i zła są systematycznie eliminowane z publicznego dyskursu w odniesieniu do indywidualnych postaw moralnych (zwróćmy na przykład uwagę że w Europie Zachodniej słowo „grzech” zostało praktycznie wyeliminowane nie tylko z języka świeckiego, ale nawet kościelnego), to w polityce międzynarodowej pojęcie zła wciąż funkcjonuje, i przypomina o sobie wtedy, gdy istnieje bieżąca potrzeba zjednoczenia opinii publicznej wokół wspólnego wroga. *Niezależnie od zapatrywań politycznych wszyscy ci, którzy nami rządzą, hołdują jakiejś wersji meliorystycznego liberalizmu, który stanowi naczelny dogmat Zachodu - pisze Gray. - Dogmat ten głosi, że cywilizacja człowieka zmierza, jakkolwiek opornie, do punktu, w którym raz na zawsze będzie można odrzucić najgorsze postacie ludzkiej destrukcyjności. Wedle tego samego poglądu również zło, jeśli w ogóle coś takiego istnieje, nie jest*

*przyrodzona ludzom skazą, lecz wytworem ułomnych instytucji społecznych, które można stale doskonalić. Paradoksalnie to właśnie ową wiarą w przemijalność zła podszyte są historyczne odwoływania się do zła, które w ostatnim czasie tak się rzuca w oczy. W dzisiejszym świecie nie brakuje haniebnych i niepożądanych sił, lecz jako „złe” bywają demonizowane tylko te, które podkopują wiarę w postęp ludzkości. Tak oto Władimir Putin budzi zaniepokojenie nie tyle z powodu zagrożenia, jakim dla sąsiadów Rosji jest jej dążenie do odzyskania imperialnej potęgi, ile raczej z uwagi na fakt, że nie bierze udziału w liberalnym projekcie ustawicznego doskonalenia ludzkości. W rezultacie rosyjski przywódca może być tylko zły. Kiedy w maju 2002 roku na szczycie w Moskwie George Bush zajrzał Putinowi głęboko w oczy, powiedział: „Dojrzałem jego duszę”. W 2011 roku zupełnie inne wrażenie odniósł goszczący na Kremlu Joe Biden, który miał powiedzieć Putinowi: „Patrzę panu w oczy, panie Premierze i myślę, że pan nie ma duszy”. Ten religijny język jest wymowny: dziewięć lat wcześniej Putin był pragmatycznym przywódcą, z którym Zachód był w stanie współpracować, teraz stał się pozbawionym duszy biesem.*

A zatem, Władimir Władimirowicz Putin został „oficjalnym” wrogiem liberalnej demokracji. Nie wnikając głębiej w przyczyny tej wolty, ani w etapy dochodzenia do obecnego stanu relacji między Rosją a Zachodem, nie ulega wątpliwości, że dla przeważającej większości mieszkańców naszego kontynentu obecny przywódca Rosji jest, mówiąc potocznie, „tym złym”. Dlaczego zatem twierdzą, że w oczach europejskiej opinii publicznej ten zwrot nastąpił właśnie po zestrzeleniu nad Ukrainą malezyjskiego samolotu z Europejczykami na pokładzie, dlaczego właśnie wtedy Putin (rozumiany jako synonim Rosji) stał się wrogiem? Odwołajmy się do krótkiego cytatu z klasycznego eseju Carla Schmitta „Pojęcie polityczności”: *Być może komuś różnica między przyjacielem i wrogiem wyda się potworna, a*

*fakt, że narody wciąż jeszcze jednoczą się wokół takich pojęć, niektórzy uznają za atawizm, pozostałość po czasach barbarzyństwa. Inni zaś będą mieli nadzieję, że pewnego dnia różnica między przyjacielem a wrogiem po prostu zniknie. Być może też ze względów wychowawczych należy udawać, że nie ma żadnych wrogów. Tym wszystkim nie będziemy się tu jednak zajmować. Nie chodzi nam bowiem o fikcje ani o normatywne postulaty, ale o faktyczną rzeczywistość i o realną możliwość pojawienia się różnicy między przyjacielem a wrogiem. Można podzielać lub nie te nadzieje i wychowawcze skrupuły. Nie sposób jednak, zachowując zdrowy rozsądek, zaprzeczać, że narody jednoczą się wokół przeciwstawnych pojęć przyjaciela i wroga, ani że również dzisiaj to przeciwieństwo faktycznie zastosowuje się dla każdego narodu jako bytu politycznego. Wróg nie jest też prywatnym przeciwnikiem, którego nienawidzimy czy do którego czujemy osobistą antypatię. Wróg to przynajmniej potencjalnie, tj. w sensie realnej możliwości walcząca grupa ludzi stojąca naprzeciw podobnej grupy. Wróg ma charakter wyłącznie publiczny, wszystko bowiem, co odnosi się do takiej grupy ludzi, a w szczególności do narodu, ma sens publiczny.*

Putin jest wrogiem, bo wywołał – lub realnie może wywołać – wojnę, a zestrzelenie samolotu spowodowało, że poczuliśmy – my, Europejczycy – że ta wojna jest (lub może być) wymierzona w nas. Zamordowanie niewinnych osób, całych rodzin, mężczyzn, kobiet i dzieci, lecących z jednej z wielkich europejskich stolic na słoneczne wakacje sprawiło, że wspólnota europejska – powtórzmy, po raz pierwszy od jej niedawnego zjednoczenia – stała się wspólnotą krwi.

Tu dygresja, niezbyt istotna w kontekście tych rozważań, ale być może warta zastanowienia w szerszej perspektywie. Dlaczego wcześniejsza o cztery lata katastrofa smoleńska nie miała dla europejskiej wspólnoty równie jednoczącego charakteru? Czy dlatego, że nie spotkała się z tak jednoznaczną reakcją polskich władz, jak w przypadku premiera Holandii, którego postawa zintegrowała nie tylko Holendrów – ale również mieszkańców innych europejskich krajów? Czy dlatego, że tak niezwykle nasilona po Smoleńsku wojna polsko-polska mogła wywołać wrażenie, że katastrofa prezydenckiego samolotu nie jest tragedią całego narodu, a jedynie jej części, a zatem nie znając meandrów polskiej polityki w gruncie rzeczy nie bardzo jest z czym się solidaryzować? Czy dlatego, że śmierć cywilów lecących na wakacje wywołuje, choćby na zasadzie skojarzenia, wrażenie że „to mógł być każdy z nas”, podczas gdy śmierć wykonujących swoje obowiązki polityków może mimo wszystko wywołać jedynie współczucie, ale już nie poczucie jedności, a w każdym razie nie na europejską skalę? Czy dlatego, że w przypadku MH17 fakty nie pozostawiają wątpliwości że to „oni zabili naszych”, podczas gdy w przypadku TU154 zrobiono wszystko, aby w oczach opinii publicznej rzeczywiste przyczyny katastrofy pozostały, nomen omen, za mgłą? A może jednak – chociaż zdaję sobie sprawę, że to może kontrowersyjna teza – śmierć mieszkańców Holandii, kraju znajdującego się w samym sercu „starej Europy” był dla mieszkańców naszego kontynentu wstrząsem mimo wszystko większym niż katastrofa samolotu z prezydentem peryferyjnego, wciąż jeszcze „innego” kraju?

Powróćmy jednak do naszych rozważań. W nowy, 2015 rok wchodzimy z poczuciem, że Władimir Putin jest naszym wspólnym, europejskim wrogiem. Wrogiem tego, co nazywamy „liberalną demokracją”. I tu oczywiście pojawia się dylemat dla wszystkich, którzy ową liberalną

demokrację kontestują, a jednocześnie nie chcą być uważani za przyjaciół Putina. Czyli dla zdecydowanej większości polskiej (i nie tylko polskiej) prawicy. Problem w tym, że po obecnym przełożeniu medialnej „wajchy”, nie da się w rozsądny sposób być jednocześnie przeciw liberalnej demokracji i putinowskiej Rosji. Zrozumieli to już przywódcy francuskiego Frontu Narodowego, zrozumiał Viktor Orban, zdają się rozumieć polscy narodowcy. Dla polskich komentatorów przyzwyczajonych do myślenia dawnymi kliszami, zgodnie z którymi automatycznie utożsamiamy umowną „prawicowość” z antyrosyjskością, ukłony tych ugrupowań w stronę Rosji muszą budzić – i budzą – najwyższe zdumienie. A tymczasem, postawa tych ruchów – jakkolwiek oceniać perspektywę jej długoterminowych skutków – jest przynajmniej konsekwentna. Skoro jesteśmy przeciw liberalnej demokracji, i Putin też jest przeciw liberalnej demokracji, to z Putinem będzie nam bardziej „po drodze” niż z liberalną demokracją.

Tę „zmianę kursu” najłatwiej zaobserwować wśród świeżo upieczonych neofitów na antyputinowskim froncie. Hasła, jeszcze przed kilku laty zarezerwowane wyłącznie dla ośrodków i mediów uważanych za prawicowe, dziś zostały w równej mierze zawłaszczane przez lewicowo-liberalny dyskurs (kto nie wierzy, niech porówna retorykę „Gazety Wyborczej” i jej redaktora naczelnego po katastrofie smoleńskiej i obecnie). Jeżeli dziś ktoś na serio zechce kontestować liberalną demokrację w jej współczesnym europejskim wydaniu, natychmiast zostanie oskarżony o współpracę z aktualnym „wrogiem numer jeden” – Władimirem Putinem. Jednocześnie, dzień i noc trwa kampania przekonująca nas, że wrogiem nie jest „zwykła” Rosja, ale wyłącznie Putin. A zatem, jeżeli Putina uda się – w zapewne dłuższej perspektywie – zastąpić kimś o bardziej liberalnych poglądach – wówczas wszystkie problemy znikną.

Dlaczego to jest dla nas potencjalnie niebezpieczne? Otóż dlatego, że jeżeli Putina (lub jego następcę, jeżeli proces rosyjskich przemian zajmie dłużej niż jedną prezydenturę) zastąpiłby ktoś, kogo umownie nazwiemy „rosyjskim Wałęsą” (w tym kontekście zaczyna się już wymieniać nazwisko Michaiła Chodorkowskiego), wówczas grozi nam realizacja scenariusza, które przed kilkoma laty rosyjski politolog Siergiej Karaganow zdefiniował jako „Związek Europy”, a jeszcze wcześniej Gorbaczow jako „Wspólny Europejski Dom”. Czyli w skrócie – liberalna demokracja od Lizbony do Władywostok, zjednoczona tymi samymi „wartościami”, przed którymi jako konserwatyści od lat próbują się bronić. Mechanizm, który obserwowaliśmy przez cały ubiegły rok – jednoznaczne określenie Putina jako wroga i wzbudzenie w opinii publicznej strachu przed wojną z Rosją – być może w dłuższej perspektywie służy realizacji tego właśnie scenariusza. I paradoksalnie, być może obecna pozycja pomiędzy „zgniłym Zachodem” a putinowską Rosją, i utrzymywanie tych dwóch sił w stanie permanentnego napięcia, może być dla Polski sytuacją mimo wszystko lepszą niż perspektywa nieuchronnego roztopienia się w jakimś nowym, otaczającym nas ze wszystkich stron, paneuropejskim tyglu.

*Przemysław Pięta*